

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 152.

№ 14. | Warszawa, 16 (3) lipca 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

„Stójka".

Projekt nowego Prawa Myśliwskiego.

(*Dokończenie*).

Projekt nowego prawa myśliwskiego zamieszcza na końcu projekt normalnej ustawy dla Towarzystw myśliwskich w całym kraju, których zadaniem ma być prawidłowe polowanie i współdziałanie w rozwoju i udoskonaleniu gospodarstwa łowieckiego, poprawa psów rasowych, wyrabianie strzelców i t. p.

Projekt tej ustawy normalnej jest bardzo zbliżony do znanej ustawy obecnie istniejącego Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. Zawiera on drobne usterki, które nasza Komisya postarała się wykazać i sprostować.

Według rzeczonej normalnej ustawy, mogą być zakładane Towarzystwa myśliwskie w całem państwie Rosyjskiem za zezwoleniem gubernatora. Wyłączone zostały w projekcie tylko Królestwo Polskie, dziewięć gubernij Zachodniego kraju i Kaukaz. Odnośny art. 190 opiewa:

„Minister rolnictwa i dóbr państwa po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych, może przedstawiać prośby o utworzenie Towarzystw myśliwskich w guberniach przywiślańskich, w dziewięciu guberniach zachodnich i w guberniach, oraz okręgach Kaukazu za pośrednictwem Komitetu ministrów na Najwyższe Jego Cesarskiej Mości pozwolenie, wraz z projektami ustaw owych Towarzystw".

Z powyższego zastrzeżenia wynika, że autorowie projektu nowego prawa myśliwskiego pragną mieć jaknajwięcej Towarzystw myśliwskich w Cesarstwie, zastrzegając się, aby ich jaknajmniej było u nas w Królestwie. Dlaczego? Widocznie wśród autorów projektu zbyt żywo jeszcze tkwią tradycye Katkowa, które projektodawcy winniby puścić w niepamięć wobec Najwyższego Ukazu z 25 grudnia 1904 r. Stary kurs polityki wewnętrznej zbankrutował, a podnosić ową upadłość w nowem prawie myśliwskiem byłoby anachronizmem albo złą wolą.

Referat p. Paszkowskiego w tej sprawie opiewa, co następuje:

„Art. 190 jest tylko powtórzeniem II c. art. 485 Ust. gosp. rol., t. j. prawa z 1884 r., które dotyczy warszawskiego generał - gubernatorstwa, dziewięciu zachodnich gubernij i Kaukazu. Nie będziemy się wdawali w ocenę celowości tego artykułu, co do innych krajów, gdyż dotyczy to miejscowych i centralnych organów, ale ograniczenie, wytworzone dla gubernij Królestwa Polskiego, budzi najpoważniejsze wątpliwości. Wówczas, gdy dla innych miejscowości w państwie sposób (zakładania Towarzystw), obecnie istniejący, ma być znacznie uproszczony, dla Królestwa Polskiego ma pozostać w dawnej sile sposób poprzedni, bardzo uciążliwy i krępujący. Przedewszystkiem można zwrócić uwagę na to, że w ostatniem dziesięcioleciu uczyniono znaczny krok naprzód pod względem ujednostajnienia zarządu krajem tutejszym z innemi miejscowościami w Cesarstwie. Wobec tego, czy jest zasada do utrzymania w nowem prawie starych ograniczeń? Jeśli zachodzi konieczność pewnych odrębności w zarządzie ogólnym, to w żadnym razie nie można uzasadnić takich ograniczeń w prawie myśliwskiem. Myślistwo jest gałęzią gospodarstwa narodowego, ale jest zarazem rozrywką, sportem, krzepiącym duszę i ciało, zabawą, każącą człowiekowi zapominać o tem, co przykre i smutne. Czy należy z punktu widzenia państwowego utrudniać obywatelom oddawanie się myślistwu? Przeciwnie, należy ich zachęcać i pociągać do tak pożytecznego zajęcia, tembardziej, im więcej pragnie się w nich widzieć dobrze myślących i lojalnych poddanych. Wreszcie gdzie i kiedy dać ludziom pewną swobodę i wolność, jeśli nie w sprawach o charakterze sportowym i ekonomicznym, dotyczących ich bytowania? Jeśli nie można zrównać pewnej części państwa z pozostałemi pod względem ogólnego zarządu, to należy skwapliwie korzystać z wypadku, który pozwala na wprowadzenie prawa ogólnego tam, gdzie niema i nie może być żadnego niebezpieczeństwa, lecz widoczna korzyść. I tu właśnie, przed wszystkiemi innemi, idą sprawy myśliwskie. Towarzystwa myśliwskie mają wyłącznie specyalne, ekonomiczne i sportowe cele i zadania; tej sfery działalności przekroczyć one nie mogą i dlatego winni istotnie pozostawać pod kontrolą administracyi. Dać gubernatorom prawo decydowania

---

KAPITAN KŁUSOWNIKIEM.

(Z życia oficerów austryackich).

(*Dokończenie*).

— Jakiś pan! — meldował sługus, podając zwierzchnikowi kartę.

Kapitan Sostec uniósł głowę o uderzająco bladem obliczu, spojrzał badawczo na kartę wizytową i odrzekł krótko:

— Prosić!

Przymknął książkę, którą czytał; spojrzał raz jeszcze na kartę, poruszając lekko wargami:

— „Oswald Ungar, adjunkt leśny hrabstwa X. dominium Z." A zatem nowy nieprzyjaciel, no, przypatrzmy się bliżej młodzieńcowi.

Wstał raptownie i, brzęcząc ostrogami, poszedł na spotkanie odwiedzającego.

— Ach, witam Oswalda! Bardzo mię cieszy, że cię znowu widzę! Proszę, siadaj! Bardzo uprzejmie z twej strony!

Przysunął mu taburet, nalał dwa kieliszki koniaku, zapraszając do picia. Sam też wypił i pogrążył się głęboko w oparciu fotelu, prowadząc ożywioną rozmowę, jak to bywa zwykle śród krewnych, którzy się długi czas nie widzieli.

Na prośbę Oswalda, kapitan oprowadził go po swem mieszkaniu, pokazując mu zarazem wiszące na ścianie w dość znacznej liczbie rogi, parostki i inne trofea myśliwskie.

Młodzieniec oglądał ze zdumieniem wspaniałą kolekcyę. Rzadko kiedy spotykał tak piękne rogi kozłów. Były wszystkie, jak wyszukane; jakby przygotowany na wystawę, sterczał jeden egzemplarz kapitalny obok drugiego.

Kapitan opowiadał właśnie dzieje kozła kapitalnego, gdy Oswald zwrócił szczególną uwagę na wiszące z brzega, rogi wspaniałe. Był to okaz tak niezwykły, że Oswald wpadł w zachwyt na widok tych badyli, potężnie operlonych. Najśmielsza fantazya nie mogłaby sobie wyobrazić rogów silniejszych. A pod niemi wisi tarczka, na której wyraźnie wypisano datę ubicia (z przed lat dziesięciu), dystans, kaliber kuli, oraz—ku zdumieniu Oswalda—pięknem pismem okrągłem wyryto słowo „Wilkodąb".

Kapitan Sostec kończył właśnie opowiadanie, spostrzegłszy, jak Oswald zainteresował się temi rogami. Twarz kapitana zbladła jeszcze bardziej. Okolona czarnym włosem i brodą czarną, wydawała się trupio bladą. Silna walka toczyła się w nim widocznie.

Wszakże krótką chwilę trwało tylko to wzruszenie, wnet odzyskał pewność siebie.

w przedmiocie tworzenia Towarzystw myśliwskich według ustawy normalnej, to znaczy rozwiązać kwestyę tej kontroli z ogólną korzyścią i powszechnem zadowolnieniem. Utrudniać sprawę niema ani potrzeby, ani celu. Gubernatorzy, jako naczelnicy zarządów miejscowych, najlepiej znają warunki i ludzi, są najkompetentniejszymi i nie ufać im niema żadnej podstawy. Przytem, bez względu na wszelkie zastrzeżenia, decydujący głos zawsze będzie miał miejscowy zwierzchni organ władzy, t. j. gubernator, a wytworzy się zupełnie zbyteczne obarczenie organów centralnych rządu i zupełnie bez potrzeby trudziłoby się Osobę Najjaśniejszego Pana sprawami tak małej wagi. W końcu, w kraju tutejszym, na równi z innemi miejscowościami w Cesarstwie, wolno zakładać Towarzystwa rolnicze za pozwoleniem gubernatorów, dlaczegóż wprowadzać ograniczenia dla Towarzystw myśliwskich?

„Wobec powyższego byłoby bardzo pożądanem, aby z art. 190 wyłączyć słowa „w guberniach przywiślańskich“.

Motywa p. Paszkowskiego są aż nadto przekonywające i wykazują jasno konieczność zniesienia powyższego zastrzeżenia, w przeciwnym bowiem razie myśliwi tutejsi, Towarzystw myśliwskich na podstawie ustawy normalnej zakładać nie będą. Ktoby kazał mniejszej lub większej grupie myśliwych ponosić tyle kłopotu i narażać się na tyle kosztów i zachodów, jakie pociągnęłoby za sobą wyjednanie zatwierdzenia u nas każdego Towarzystwa myśliwskiego oddzielnie? My umiemy polować prawidłowo, bo nie mówiąc nawet o czasach najdawniejszych, w których w Polsce łowiectwo również uprawiane było racyonalnie, obowiązywały u nas zawsze mniej lub więcej ścisłe prawa myśliwskie, a ostatnie przepisy z 1871 r. niewiele potrzebują zmian, aby były ustawą myśliwską, zupełnie na potrzeby czasu wystarczającą. Nasze liczne, prywatne kółka myśliwskie, przestrzegające ściśle rzeczonych przepisów i uwzględniające najnowsze zdobycze wiedzy łowieckiej, zastępują nam i zastąpią w przyszłości Towarzystwa, o których mówi projekt nowego prawa. Jeżeli trudności przy zakładaniu u nas Towarzystw myśliwskich mają być równoznaczne z wyjednaniem nowego prawa, to tutejsi myśliwi poniosą raz ten trud dla utworzenia jednego wielkiego Towarzystwa łowieckiego, mającego na celu nie samo polowanie, lecz popieranie wogóle spraw myśliwskich w całym kraju, i w drodze prawodawczej przeprowadzą ustawę dla takiego Towarzystwa na wzór francuskiego *„Société des chasseurs français pour la supresion de braconage“*, które dla nas jest potrzebniejsze, aniżeli cała masa drobnych Towarzystw, mających na celu tylko wspólne, najkorzystniejsze wyzyskanie terenów myśliwskich. Do tego ostatniego celu, powtarzamy, wystarczą zupełnie kółka myśliwskie, których zakładanie nie pociąga żadnych trudności, ani nie wymaga żadnych formalności. Zrzeszenie się naszych dziesiątków tysięcy myśliwych pożądane jest bardzo dla skutecznej walki z odwiecznym wrogiem myślistwa — kłusownictwem i popierania spraw myśliwskich ogólnego znaczenia, a o takie stowarzyszenie polscy myśliwi postarają się niewątpliwie, jeśli uwzględnienia tej potrzeby w nowem prawie nie znajdą.

J. Z.



PRAWO ŁOWIECKIE W POLSCE

w wiekach średnich.

(Ciąg dalszy).

Wśród całej grupy łowców należy odróżnić tych, którzy stale towarzyszyli księciu i urzędnikom — łowczym, od tych, którzy z reguły uprawiali rolę, a obok tego mieli obowiązek zajmować się łowiectwem, niekiedy tylko od roli odrywani dla celów łowieckich.

Zajmijmy się nimi nieco.

Są to niewolni [1]), z tej grupy ludności wyszli i do niej prawnie przynależni. Jednakże w niejednym względzie prawnie i ekonomicznie od niej się różnią.

Przedewszystkiem uprawa roli nie jest ich głównem zadaniem, nie są oni przywiązani do ziemi, brak im wielu typowych cech ludności *„adscriptitii“*. Charakterystycznem w tej mierze jest świadectwo,

[1]) Kod. Małop. XCVI, „nostri homines venatores“.

— To nic szczególnego — odezwał się i poprowadził gościa w inną stronę.

— Muszę, niestety, w listopadzie wyjechać, muszę opuścić tę piękną okolicę. Wiesz może o tem, że zostałem majorem i mają mię przenieść do Galicyi. Lecz nie, dlaczego „niestety“, może to i dla mego dobra?—dodał zwolna, jakby do siebie mówiąc.

Rozmowa się urwała.

Oswald pożegnał się wkrótce, zamierzając jeszcze kilka innych wizyt załatwić po drodze.

* * *

Cicho i spokojnie stały lasy i pola, najmniejszy podmuch wiatru nie poruszał liści prastarych dębów i buków. Znużone dniem upalnym, wszystko odpoczywało. Ani ptaszyna, ani żadna istota żywa nie dała znaku życia, nawet niezmordowane komary zdawały się usypiać. Cisza cmentarna panowała także w rewirze myśliwskim, który ciągnął się od „starego zamczyska łowieckiego“ nieopodal Wilkodębu przez cały kompleks leśny aż do „nowej poręby“.

Wtem rozległ się krzykliwy głos przerażonego kosa: „tsiap-tsiap-tsiap-ti-ti-trr“ i znaglony przez coś niewiadomego, odfrunął mały śpiewak.

I znowu wszystko było spokojne, nastała ta sama cisza tajemnicza.

Lecz oto—szmer wśród chrustu, zwolna poruszają się liście, lekko rozchylają się gałęzie, ukazuje się blade oblicze. Badawczo ogląda się na wszystkie strony, ucho z natężeniem śledzi wszelki szum podejrzany. W końcu, widocznie uspokojona, wychodzi powoli i ostrożnie cała postać mężczyzny jakich lat czterdziestu, z kryjówki leśnej.

Kapitan Sostec w szarem ubraniu i lekkiem obuwiu myśliwskiem, z flintą pod pachą, bada raz jeszcze wszelkie szczegóły otaczające, poczem z uczuciem całkowitego bezpieczeństwa kieruje swe kroki ku „nowej porębie“. Lekko, prawie bez szmeru, stąpając, zbliża się do znajomej mu polany.

Wargi jego poruszają się nerwowo. Rozmyśla:

— Ten ósmak należy jeszcze do mnie, ostatni! Potem przecież wyjadę. Ach, prawda, i pierwszego tu ubiłem; ale wszystko jedno. No i z tym żółtodziobem damy sobie radę.

Stanął wreszcie, rękoma porozdzielał zwisające gałęzie krzaku o gęstych liściach. Przyklęknął tak zręcznie, że gałęzie w tej chwili zawarły się zupełnie nad jego kryjówką.

O jakie 150 kroków stąd stało prastare drzewo dębowe, jedyny przedstawiciel tego gatunku w całym rewirze. Na tem miejscu właśnie, pod ochroną gęstego chrustu, niedopuszczającego gości nieproszonych, zarząd leśny urządził lizawki dla zwierzyny, która też pilnie je odwiedzała i chętnie z nich korzystała. W bezpośrednim, najbliższem otoczeniu lizawek nie było nigdzie chrustu; zwierzyna bowiem ogryzła go

wprawdzie nieco późniejsze, jednakże i do XIII wieku mogące być odniesionem. Stosunek tej ludności do roli, uprawianej przez nią, określa mianowicie Długosz w ten sposób: *In qua (villa Gycdlna*, własność królewska) *sunt multi campi et multi cmethones et coloni, quorum agri in laneos, plus enim venatoriae artis, quam agrariae culturae extant dediti, non sunt distincti* [1]), lub gdzieindziej mówi: *in qua villa* (Makosza) *non sunt dimensurati lanei cmethonales, sed agri passim per venatores regios coluntur* [2]). Czasem, gdy w pewnej okolicy stan zwierzyny się zmniejszył, czy to z powodu zmian warunków naturalnych, czy też z powodu jej wytępienia, łowczy przenosili się gdzieindziej, w bardziej obfitujące w zwierzynę okolice. Stąd też czytamy w źródłach: *villa, quae olim venatoribus spectabat* [3]) lub *quam eciam nostri homines venatores per concessionem pro tempore tenuerint* [4]).

Bez wątpienia należy zaliczyć wsi te, zamieszkane przez służbę łowiecką, do rzędu t. zw. osad narokowych. Posiadają one bowiem wszystkie typowe ich cechy, służąc przedewszystkiem do zaopatrywania rycerstwa grodowego w żywność. Różni jednak te osady od innych narokowych to, że spotykamy je nietylko koło grodów, ale także w dalekim od niego promieniu, porozrzucane po całym kraju, co tłómaczą nam same warunki polowania.

Jak naczelnikiem wszystkich osad narokowych był kasztelan grodowy, tak znów łowieckie osady specyalnie podlegały łowczemu grodowemu, *venator castri*, który znów, zdaje się, był zależnym od ziemskiego (*v. maior*) lub bezpośrednio od nadwornego (*v. curiae*). Osady narokowe, łowieckie i ich ludność były ściśle związane z grodem, gdzie przebywał ich naczelnik; łowcy wogóle stanowili zapewne znaczną część ministeriałów każdego grodu, a ich zajęcie przechodziło z ojca na syna.

Dziś jeszcze znajdujemy nader często nazwy wsi, które wskazują nam, że była to niegdyś osada narokowa, zamieszkała przez łowców. Są to takie wsi, jak: Łowce, Łowice, Łowczów, Łowiec, Bobrowniki (bardzo częste), Psary, dalej również bardzo często spotykana nazwa Sokolniki, równoznaczne z poprzedniem Jastrzębniki, Strzelniki, Strzelce [1]) i t. p.

[1]) Liber beneficiorum II, 529.
[2]) Ibid. II, 531.
[3]) Kod. Wielkop. 228.
[4]) Kod. Małop. XCIV.

Pierwotnie osady tego rodzaju były wyłączną własnością księcia, w miarę jednak, jak na mocy rozmaitych nadań klasztorom i osobom prywatnym, przechodziły w inne ręce, stawały się prywatną własnością. Zwłaszcza kolonizacya wielkie uczyniła zmiany w osadach łowieckich; wskutek zakładania nowych osad, trzebienia lasów, tępiono zwierzynę, a wskutek tego łowcy w pierwotnej swej ilości stają się zbyteczni. To też najczęściej osada łowiecka została przeniesioną na prawo niemieckie, a łowcy przemienieni na kolonistów, uprawiających ziemię [2]). Jednakże obdarzone prawem polowania, zwłaszcza klasztory, zostawiały czasem łowców w ich funkcyach, i tak mamy osady narokowe, należące do osób prywatnych [3]).

Nie należy sobie wyobrażać, jakoby osady łowieckie były nader licznie zamieszkane, przeciwnie nieraz dwóch lub trzech łowców tworzyło całą osadę [4]), a niekiedy znów we wsi rolniczej znajdujemy jednego lub paru łowców, pojedyncze te osady nie należą jednak do narokowych.

Łowcy osad, nad brzegami lasów, lub w lasach, położonych, byli obowiązani do strzeżenia lasów [5]), a zdaje się, że już wówczas służba myśliwska i piecza lasów były ściśle z sobą połączone. To też mamy na oznaczenie służby łowieckiej używaną nazwę

[1]) Rzyszcz.-Muczk. II. 11, rok 1176 strelcz quia venatores uerunt ecclesie, jak również bulla gnieźnieńska z roku 1136, villa sagittariorum.
[2]) Incolebant autem villam prefatam Drezathe falconistae regii, dum regia foret, sed in sortem archidiaconatus translata falconistis amotis colonia aratorum facta est. Długosz, Lib. benef. I. str. 189. In hereditate ipsorum que Coszol nuncupatur civitatem locandi cum Teutonicis seu liberis Polonis nec non et castorariis et hominibus cum prefata hereditate collatis, pleno iure teutonico, Kod. Wielkop. 440.
[3]) Insuper duos castorarios proprios meos cum omni posteritate ipsorum servituti abbatis dicti monasterii subiugavi, dans illi libertatem castores capiendi cum sue libuerit voluntati. Kod. Wielkop. 192.
[4]) Quandam sortem que vocatur Lang, que est sita super Vartam fluvium in qua ex antico erant duo cmetones proprii patris nostri venatores castorum, quorum unus vocabatur Pista et alter Lituin. Kod. Wielkop. 308.
[5]) Quod ibi resident nostri venatores seu silve custodes. Kod. Wielkop. 725.

---

i wydeptała tutaj, jak to czyni także przy miejscach zimowych paśników.

W ten sposób nasz kapitan miał z przodu oraz z prawej i lewej strony, między drzewami o pniach wysokich, wolne miejsce do strzału. Prawdziwie idealne stanowisko.

Tutaj też wyśledził kozła o tym czasie. Dopiero onegdaj widział go na tem miejscu i przedtem także spotykał się często z nim w tem otoczeniu.

Po chwili miejscowość się ożywiła. Jakaś sarna się ukazała, potem przyszła druga i jeszcze jedna, potem kozioł jeden i drugi i znowu dwie kozy. Serce każdego myśliwego drżałoby z radości na widok tych okazów wzorowej hodowli zwierzyny. Same kozły, młodociane sarny i stare kozy z koźlętami. Ani jednej sztuki jałowej nie było między niemi.

Przechodziły spokojnie, bez troski.

Wtem ukazała się jasna plama na ciemnem tle pniów bukowych. Plama stała się wyraźniejszą; powoli, jakby wietrząc nieszczęście, wysuwał się kozioł z pośród drzew.

— To ten! — zadrgały wargi myśliwego.

I istotnie; była to sztuka niezwykle silna; — wietrząc na wszystkie strony, zbliżał się powoli. Dumnie podniósł głowę, dumnie ukazał rogi kapitalne. W końcu, uspokojony z powodu ciszy, niczem niezakłóconej, zaczął żerować na ziemi, z całym spokojem biorąc kilka liści.

Ale „nieszczęście kroczy szybko“.

Powoli podniosła się strzelba kapitana, powoli skierował jej wylot śmiercionośny na nieprzeczuwające nic zwierzę, poczem rozległ się huk ostry, krótki i kozioł, farbując silnie, padł w ogniu.

Kapitan pośpieszył do niego z wylękłą twarzą. Drżąc ze wzruszenia, uchwycił za rogi. Manewrował prędko rękoma, oko nasycało się widokiem tego rzadkiego trofeum.

Prawidłowy ósmak.

Strzelec szybko się zoryentował, wydobył z kieszeni kurtki małą piłeczkę ręczną. Wprawna ręka prędko się załatwiała z robotą. Również szybko znikła piłka, lecz tym razem już wespół z rogami, które ukrył w głębokiej kieszeni specyalnej.

Podniósł się szybko, ujął strzelbę i chciał się już oddalić w przeciwnym kierunku, gdy nagle, zrobiwszy parę kroków, stanął, jak piorunem rażony.

O jakie dwadzieścia kroków przed nim, oparty o pień jedynego dębu, z bronią na ramieniu, stał jego kuzyn, Oswald.

— Że się tu spotkamy, wiedziałem już od onegdajszego dnia na pewno. Przedtem tylko tak przypuszczałem — odezwał się Oswald spokojnie. Mój list otrzymałeś niewątpliwie; napisałem ci w nim, że odkryto twoje ślady. Nie chciałeś usłuchać. Dobrze, jutro dowiesz się o wyroku.

Smutnie się odwrócił i powoli, jakby oczekując skąd odpowiedzi, opuszczał miejsce wypadku.

„podgaij“ [1]), podgaje, niekiedy także gajownicy [2]), stąd swój początek biorącą.

Osady te zresztą były utrzymywane dla dozoru i hodowania zwierzyny, bądź też psów i sokołów, przeznaczonych do polowania, lub stanowiły ostoję dla służby łowieckiej po wyprawach, w celach myśliwskich przedsiębranych.

Szczególnie wiele nazw wsi wskazuje na pierwotne osady bobrowników. Bobry, podówczas dość zwykłe, były w szczególnej opiece panującego, który ciągnął z nich znaczne zyski, a „jaty bobrowe“ gęsto wznosiły się po stawach i moczarach. W okolicach zaś, przez bobry zamieszkanych, krążyli książęcy bobrownicy (*custodes castorum*, *castorarii* [3]) *venatores castorum*) [4]), strzegąc ich i wybierając z pośród nich należny księciu trybut w pięknych skórkach. Gdy znaczne, moczarowate przestrzenie zamieszkiwały bobry, przebiegali je bobrownicy, co im ułatwiał nałożony na ludność obowiązek „stanu“ [5]).

Wskutek najczęściej wielkiego oddalenia od grodu i tego, że nie łączyły ich z grodem żadne związki ekonomiczne, jak innych łowców — przeznaczeniem ich bowiem nie było dogadzać rycerstwu grodowemu — mniej mają bobrownicy cech ludności osad narokowych. Nadzór bezpośredni nad nimi miał wspomniany już *dominus castorum dictus vulgariter*, pan bobrowi [6]).

Blizko grodów zwykle napotykamy osady psiarzów lub psarów (*caniductores canum ductores*) [7]). Tu książę miał liczną psiarnię psów rozmaitych rodzajów i przeznaczenia, o których mówiliśmy wyżej, oddanych pieczy świadomych obchodzenia się z niemi służebników. Psiarze wodzili je na sforach, idąc z księciem lub łowczym na polowanie. Prócz tego mieli nadzór nad siećmi do polowania [8]).

Najdoświadczeńsi i najsprawniejsi w łowieckiem rzemiośle byli wraz z psami „tropowcami“, jakbyśmy je dziaj nazywali, używani do tropienia zwierza w jego kryjówkach i ci nazywali się śledniсy (slednicj) [1]). Polskiej tej nazwie odpowiada łacińska *indagator* [2]). Ci, gdy książę odbywał swe podróże, szli przodem, każdy z jednym psem, wyszukując legowisk zwierza.

Inna nazwa śledników jest iskarze (*Iskarae*) [3]), a pochodzi ona od słowa iskać tropy, w tem znaczeniu tyle, co dziś podejmować tropy.

Obowiązkiem Karmników [4]) było karmienie sfory książęcej, sobie powierzonej. Jest to jedna specyalna tylko czynność, do fachu psiarzów należąca.

Bardzo ważną rolę wśród łowieckiej służby grali sokolnicy (*falconarii falconistae*). Sprawni sokolnicy byli bardzo cenieni, a książęta sprowadzali ich nieraz aż z zagranicy [5]). Jako nazwa topograficzna, występują Sokolniki bardzo często [6]). Obowiązkiem ich było utrzymywać, żywić, nosić z sobą (na berle lub rękawicy), układać i przysposabiać do łowów sokoła, nad którym pieczę miał sobie powierzoną, to też źródła odróżniają niekiedy *falconarii* i *portatores falconum* [7]).

Sokołów używano przedewszystkiem do polowania na ptaki, stąd też i nazwa sokolników niekiedy używana — *aucupes*, nazwa ta jednak oznacza także rodzaj łowców, którzy chwytali ptactwo na lep i sidła. Prócz tych funkcyj odbywali oni niejako inspekcyjne podróże po kraju, doglądając, zali nałożony przez księcia na chłopów ciężar, pod mianem sokół lub sokołowe, bywa dopełniany.

Tem samem, co sokolniki, zajmowali się i Jastrzębniki (koło Kalisza wieś); jest to może tylko lokalna, odmienna nazwa tej samej kategoryi ludzi.

Od czasowego tylko spełniania specyalnych czynności łowieckich noszą, łowcy nazwy takie, jak *agitatores* [8]), szczwacze lub *venatores cervorum* [9]), dlatego nie można z nich tworzyć specyalnego rodzaju kategoryi ludności osad narokowych.

Dr. Tadeusz Mańkowski.

(*„Łowiec“*). (*C. d. n.*)

[1]) Prohibemus eciam omnibus officialibus, ministerialibus, subvenatoribus et eorum podgaijs i t. d. Ulan. Dok. kuj. i mazow. str. 323.

[2]) Ulan. ibid. str. 188, nr. 14.

[3]) Kod. Wielkop. 7.

[4]) Kod. Wielkop 379.

[5]) Cum sint in captura castorum circa vilam sepius nominatam. Kod. Małop. CCCL

[6]) Kod. Małop. CCCCLXXXI.

[7]) Ibid. CCCCXLVII. DLXVII.

[8]) Caniductores cum retibus. Kod. Małop. VII.

[1]) Tunc homines episcopales.. et duos homines cum duobus canibus qui dicuntur Slednicj. pascent dum ipse dux in silvis venari voluerit transeundo. Kodex katedry krakowskiej, XLI, r. 1255.

[2]) Cum caniductore et indagatore Ketrz. 30. Dok. nr. 1.

[3]) Rzyszcz. - Muczk. 2445. w Ulanowskiego Dokum. kuj. i maz. nr. 13 „izskare“ prawdopodobnie przez wydawcę źle odczytane. Badeni nazywa ich iskacze, forma jednak „iskorae“ wskazuje na nazwę iskarze. Co do znaczenia, to w XVI w. jeszcze znajdujemy zwroty, jak psy, iskające trupy. Badeni (loc. cit.) bezpodstawnie rozciąga miano to na całą służbę łowiecką (str. 551) w najogólniejszem znaczeniu.

[4]) Ministeriales scilicet carmnici. Kod. Małop. XLIII, r. 1256. Karmniki, wieś koło Lubiąża.

[5]) Gallus loc. cit. Wśród łowców Władysława Jagiełły spotykamy również rozmaitego pochodzenia służbę, więc Medyolańczyków, Rusinów i Litwinów, Rosyan i Czechów (Rutheni, Mosquiti, Mediolanenses i. t. d.). Rachunki dworu Jagiełły.

[6]) Mamy np. dokumenty datowane w ten sposób. datum v. Socolnie na dubroue prope Louicz.

[7]) Kod. Małop. 62

[8]) Rzyszcz.-Muczk., II, 2, CCCCLXXXI.

[9]) Ibid. II, XXIV.

W tejże chwili kapitan podniósł strzelbę; grożąc, skierował jej otwór do Oswalda. Lecz groźba ta trwała tylko sekundę, po krótkiej chwili odwrócił broń; rozległ się strzał. Kapitan się zachwiał, ręce jego szukały oparcia w powietrzu i bez życia upadł na ziemię!

* * *

Upłynęło kilka miesięcy. Gazety dawno już przestały pisać o tym wypadku Nikt już nie mówił ani o „trupie kłusownika“, ani o kapitanie, aczkolwiek wielu domyślało się związku między temi wypadkami.

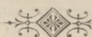
Na skutek wstawiennictwa Oswalda i nadleśniczego, milczał o tym wypadku także hrabia — dziedzic, któremu zakomunikowano całą prawdę.

Światek plotkarski nie znalazł nic sensacyjnego w wiadomości gazeciarskiej:

„Kapitan von Sostec, wskutek nieszczęśliwego wypadku na polowaniu, został raniony śmiertelnie“.

Z niemieckiego przełożył

J. K - z.



WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

W miarę wieku podawana, jaglana, gotowana kasza, a następnie surowa, służy im bardzo dobrze. Po kilku tygodniach jedzą już wszystko to, co kury domowe. Z powyższego widać, że wychowanie kuropatw

w domu nie jest połączone z większemi trudnościami. Najgłówniejszą i najtrudniejszą sprawą jest szczęśliwe ulokowanie jaj pod nasiadkę, dalszy proceder wychowania jest łatwy, szczególnie, jeżeli się ma mrówczych jaj (poczwarek) poddostatkiem.

Kilka lat temu u mnie, przy koszeniu łąki koło domu, natrafiono na gniazdo kuropatwy; starka uszła nieuszkodzona, ponieważ jednak nie ulegało wątpliwości, że kuropatwa tuż przy wsi nie będzie miała spokoju, a może i do gniazda wcale nie powróci, więc zabrano 8 jaj, które były w gnieździe, i podłożono pod kurę domową. Jeszcze ciepłe jaja podłożono kurze i po pewnym czasie wylęgło się 8 sztuk młodych. Sposobem, wyżej podanym, wychowały się wszystkie bez trudności i wypadku, gdy się jednak normalnie wypierzyły, zginęły dwie bez wiadomego powodu. Pozostałe sześć sztuk wodziła kura na wolności i każdego dnia wieczorem wracała do pralni, gdzie od młodości się chowały. Zgoła nie były dzikie, w miarę czasu jednak oddalały się od kury coraz dalej, a pozostawione na zupełnej swobodzie, początkowo wracały do izby przez pewien czas, aż wreszcie zostawały i na noc na polu, ale zawsze w pobliżu zabudowań.

Partya tych kuropatw karmiona była w młodości mrówczemi jajami, które zadawane im były z białego woreczka; ile razy następnie chciano kuropatwy mieć w podwórzu, wystarczało wyjść za ogrodzenie i pokazać na tyczce białą chustkę, a zaraz na skrzydłach lub ciekach przybiegały z charakterystycznem ćwierkaniem, i każdym razem przywiązanie ich nagradzano ziarnem.

W następnym roku z 14 podłożonych jaj wylęgło się 3 sztuki; reszta nie mogła się wykluć — ale i te nie były zdrowe; dwie miały pokręcone nóżki, a jedna nie miała zupełnie oczu; do chowu zatem były niezdatne.

Brehm podaje, że kuropatwy, wyhodowane w domu, o ile się z niemi umiejętnie obchodzić, okazują niezmierne przywiązanie do swoich wychowawców, wyrażają swoje uczucia w formie dla każdego zrozumiałej i potrafią osoby rozróżniać jaknajdokładniej. Koguty przekładają kobiety nad mężczyzn, kury odwrotnie, okazują większe przywiązanie do mężczyzn, aniżeli do kobiet, i o mężczyznę mają być zazdrosne!?

W niewoli rozmnażają się kuropatwy jedynie w obszernych i zacisznych pomieszczeniach.

Kuropatwy, jako ptaki bezbronne i żyjące na ziemi, przeważną część roku nie dostatecznie okrytej przeciw drapieżnikom, narażone są całe życie na prześladowanie, szczególnie w zimie, kiedy pola śnieg pokryje i każde stadko kuropatw już zdaleka widać, jak na dłoni.

W tym krytycznym czasie jest każde drapieżne stworzenie wrogiem dla kuropatw. Wszystkie drapieżne ptaki, chociażby niektóre z nich w normalnym trybie życia nie godziły na kuropatwy, jednak parte głodem i z braku innej zdobyczy, rzucają się na bezbronne i duszą je, co im tem łatwiej przychodzi, że zziębłe kuropatwy, zbite podczas zawieci śnieżnych w gromadkę, nie stawiają najmniejszego oporu.

Do główne niebezpiecznych ptaków należy jastrząb-gołębiarz, dla swych niecnych czynów także kuropatwiarzem zwany, a przygodnie niebezpieczne są dla kuropatw sokoły, kanie, błotniaki, a nawet krogulce i t. p. Dla piskląt — kruk, wrona, sroka, oraz bocian, są szkodnikami bardzo dotkliwymi, natrafiwszy bowiem na gniazdo kuropatwy, wybierają jaja do ostatniego; podobny los spotyka i pisklęta.

Szczególnie bocian i wrona są dla młodych kuropatw strasznymi wrogami. Bocian, jeżeli zejdzie stadko piskląt, pomimo zaciętego oporu starek, połyka bezwstydnie cały ląg w przeciągu kilku minut; pisklęta, przerażone krzykiem starek, przywarowują do ziemi, a miły „Wojtuś" brodzi pompatycznie po koniczynie, lub innem zbożu, i łatwo z wysokości swej dostrzega bystrym wzrokiem każde przyczajone pisklę i nie troszcząc się o hałas i protesty starek, jedno po drugiem połyka.

Wrona jest pod tym względem o wiele względniejsza od bociana, zadawalnia się bowiem narazie jednem małem; ująwszy maleństwo, unosi je w dziobie i uchodzi z opałów starek jaknajspieszniej w miejsce bezpieczne, pożera je sama, lub rozdziela między młode wrony, które w tym czasie, aczkolwiek wyrosłe, nie zawsze jeszcze żer dla siebie wyszukać umieją i chętnie dzielą się łupem starych.

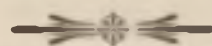
Wrona, zasmakowawszy raz w młodych kuropatwach, wraca niebawem na miejsce pierwotnej zdobyczy i przelatując zwolna i nizko, kilka łokci zaledwie nad ziemią, z głową zwróconą ku dołowi, przeszukuje zagon po zagonie, a kiedy stadka odszuka, uderza z góry na upatrzone pisklę, porywa je i odlatuje.

O ile kuropatwy nie mają dobrego schronienia, lub młode, które pierwszy raz wywiodły potomstwo, więc nie oceniają tak dobrze niebezpieczeństwa, jakie im grozi, i nie uchodzą, — to z zajmowanej pozycyi narażają się na to, że wrona, po jednemu, ale stale, przez kilka dni wybierze całe stadko.

Nie każda wrona poluje na kuropatwy, i myśliwy pozna wronę-szkodnicę po charakterystycznym, nizkim locie, jak to wyżej opisano; zwykła bowiem wrona, a zatem dla hodowcy więcej obojętna, ciągnie wysoko i pól nie przeszukuje.

Kruki i sroki, ponieważ tak licznie nie występują, wyrządzają kuropatwom także mniejsze szkody.

(C. d. n.).



PRZEPIÓRKA.

(Krótka monografia, podług Prévôt-Schonklinga i innych źródeł).

(Dokończenie).

Podobne mordowanie masowe odbywa się także we Włoszech. Wspomniany wyżej, hrabia v. Meuhle, pisze o tem, co następuje: „Na Mainie, zwłaszcza zaś na wyspach, podczas tego ciągu przepiórek młodzi i starzy uprawiają łowiectwo i zajmują się odpowiedniem przyprawianiem tych ptaków". Łowią je za pomocą żelaz, lepu i sieci „troistych", głównie jednak za pomocą sieci lotowych (nagonnych). Bardzo tłuste, a przeto ospale leżące ptaki, chłopcy ubijają kijami. Oskubują je, obcinają im głowę i nogi, wydobywają wnętrzności, rozpruwszy im piersi, pakują je, jak śledzie, i wywożą. Źródło dochodu z tego jest w niektórych okolicach tak znaczne, że, gdy w roku 1834 podczas powstania w Mainie, miano zakazać wszelkiej sprzedaży prochu w tych stronach, ówczesny minister, Coletti, na radzie ministeryalnej oświadczył się przeciw temu zakazowi, ponieważ w ten sposób pozbawionoby krajowców najgłówniejszego źródła utrzymania, a przynajmniej uszczuplonoby je poważnie.

Również wyspa Capri słynie w pewnych kołach myśliwskich z obfitości połowów przepiórek. Niegdyś biskupi, do których dyecezyi wyspa należała, ciągnęli znaczną część swych dochodów z połowu przepiórek. Podług Watertona, w Rzymie niekiedy jednego dnia opłacono cło za 17.000 sztuk tych ptaków. Nie inaczej dzieje się także pod tym względem w Hiszpanii.

Pomimo tego bezgranicznego mordowania, ptaki ocalone wędrują jeszcze w takich gromadach nad morzem, że robią wrażenie chmury gęstej. A jak je przyjmują następnie Afrykańczycy? Nie inaczej, jak na wybrzeżu północnem morza! Na prymitywnych wie-

żach strażniczych wartownicy śledzą przybywanie ptaków, które, z powodu bezustannego lotu przez morze, są tak zmordowane, że szybują zaledwie na bardzo nieznacznej wysokości nad falami. Strzał sygnałowy zwiastuje przybycie na ląd przepiórek. Z nieopisaną zawziętością krajowcy napadają zmęczone ptaszyny; ustawiają też niezliczoną ilość przyrządów do łowienia jaknajbliżej wybrzeża, ażeby zapobiedz temu, by ptaki w pośpiechu nie ukrywały się i poginęły w krzakach lub w ścierniskach wśród trawy „halfa" rosnącej na ławach piaszczystych.

Ptaków, którym uda się wymknąć, nie ścigają, bo to się nie opłaci, wobec tego, że codzień przybywają nowe chmary ptactwa, aż do października. W tym czasie ciągną wielkie gromady wylęgniętych w Europie przepiórek; ptaki, pozostałe we Francyi południowej, na wyspach greckich i na Sycylii, tworzą wtedy rodzaj pokłosia, śród którego nemrodzi szerzą jeszcze straszniejsze spustoszenie.

Dla biednego Fellaha połów przepiórek stanowi czynnik, z którym bardzo poważnie liczyć się musi; dla niego przepiórka jest jedynym ratunkiem w latach suszy i nieurodzaju. Ażeby połów uczynić skutecznym i obfitym, urządza gaik sztuczny z sitowia, traw stepowych i t. d. w bezpośredniem pobliżu wybrzeża. W kierunku południowym urządza mioty prostolinijne, wytykając je gałęziami i wierzchołkami powidlnika (*Tamarindus* = tamaryndowiec); mioty prowadzą do klatek nizkich, surowo z sitowia uplecionych, które zamykają się drzwiczkami sitowianemi, otwierającemi się ku wnętrzu.

Gdy przepiórki zapadają na wybrzeże, posiłkują się natychmiast swemi zwinnemi ciekami, przebiegając szybko wzdłuż małych alejek i na oślep wpadają do pułapek z sitowia. Klatki takie prędko się zapełniają i łup, wynoszący 2,000 sztuk przez jedną noc, nie należy do rzadkości. Po dwudniowym poście, na który złowione ptaki same się skazują, przyjmują chętnie pokarm i wodę, poczem wsadza się po 300 do 500 sztuk w nizkie klatki i sprzedaje hurtownikom, którzy jaknajprędzej wywożą je na okrętach. Dane statystyczne wykazują, że z Egiptu rok rocznie wysyła się 1,275,000 sztuk, a mianowicie 1,088,500 do Francyi, 92,000 do Anglii, 25,000 do Włoch i 70,000 na Maltę.

Prawie w tych samych rozmiarach, co na pobrzeżu morza Śródziemnego, uprawia się połów przepiórek na wybrzeżach morza Czarnego i Kaspijskiego. Baszkirowie, Kirgizi i inne plemiona azyatyckie wciąż jeszcze urządzają polowania z sokołami na przepiórki; w ten sposób również uprawia Hindus polowanie na przepiórki.

Niemałej jednak liczbie prześladowanych ptaków udaje się uniknąć niebezpieczeństwa i przefrunąć swobodnie przyrządy łowieckie. Te docierają potem do krajów Afryki i Azyi; z ptaków, dążących do Afryki, wiele dostaje się nawet po Kaplandu.

Przepiórki, zdaje się, zapominają rychło o niebezpieczeństwach wędrówki, gdyż zaledwie po upływie dwóch tygodni wypoczynku zaczyna się nowe wysiadywanie jaj w tej części południowej czarnego kontynentu. Podobnież na bardzo rozległych polach pszenicznych kolonii Kapsztatu rozlega się „pik-wer-wik" przepiórek. I tam także koguty, pełne temperamentu, wykonywają czyny waleczne, zupełnie jak u nas koło świętego Jana. Sądząc z tego, zdaje się, że ptaki, mimo wędrówki niebezpiecznej, jednak doskonale się trzymają w Afryce południowej; tak samo widocznie pola zbożowe Abisynii dostarczają im wybornego żerowiska.

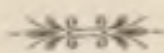
Niepodobna opisać, w jakiej liczbie przepiórka dokonywa lęgu w Afryce południowej i w jak duże stada tam się łączą. Faktem jednak stwierdzonym jest to, że zarówno tam, jak na wybrzeżach Europy, po przejściu wiatru „sirocco" w nocy, nazajutrz rano nie spotyka się już ani jednej przepiórki na polach, dotąd tak obficie przez nie zamieszkanych. Już w styczniu zaczyna się wędrówka na północ, i to, podobnież, jak na południe, ogromnemi chmarami.

Gdy sobie uprzytomnimy niezmierne prześladowanie przepiórek w ich miejscach pobytu; gdy pomyślimy, w jak przerażającej ilości zmniejszają się te ptaki podczas wędrówki corocznej w jedną i drugą stronę morza; gdy dalej wspomnimy o tysiącach, które podczas nagłych podmuchów wichru, wpadają do morza, i o tych, które stają się łupem drapieżników czworonożnych i pierzastych, — to można sobie wyobrazić, o ile zmniejszyła się liczba tego drobnego gatunku ptactwa, o mięsie, wysoko cenionem, zwłaszcza w Europie środkowej.

Dopiero przed niewielu laty wywóz żywych przepiórek, zarówno z Egiptu, jak i z Algeryi, przyjął takie rozmiary, że to w rażący sposób sprzeciwia się prawu międzynarodowej ochrony ptaków. Podobnież dopiero w ostatnich latach wywóz żywych przepiórek z Afryki północnej przez Włochy via Bazylea — Luksemburg do Holandyi i Anglii, urósł do nadzwyczajnych rozmiarów. Nic zatem dziwnego, że strony zainteresowane występują do władz rządowych z podaniami, ażeby ustanowiono pożądane ograniczenia dla przepiórek egipskich, a względnie dla ptactwa wogóle. Przy rozroście handlu przepiórkami wartość ptaka jest oczywiście znacznie większa, niż dawniej. W Algierze wynosiła niegdyś cena żywej przepiórki 4 centymy, teraz podskoczyła do 20, a czasami jeszcze przekracza tę cyfrę. W Anglii przepiórka kosztuje zwykle 1 szylinga; przy silnym popycie i słabym dowozie płaci się chętnie 3 szylingi za parę. W pierwszych latach przepiórki dostawały się do Anglii i Holandyi prawie wyłącznie bezpośrednią drogą morską. Później, gdy popyt na te ptaki wzrósł znacznie, część połowu wyprawiano koleją żelazną do Neapolu, Brindisi i Marsylii. Przeciw temu nic poradzić nie można. Ochronę ptaków da się tylko tem uskutecznić, gdy się ograniczy połów w Egipcie, albo gdy się przeprowadzi prawo, wzbraniające kupna tych ptaków w krajach, stanowiących główny rynek zbytu, czyli w Anglii i Holandyi.

Dawniej, przed początkiem kwietnia, nie było transportów przepiórek; natomiast z początkiem tego miesiąca do połowy sierpnia na głównej stacyi przygotowawczej w Bazylei notuje się imponującą liczbę 49,780 kg. przepiórek. W ten sposób większość ptaków tych łowi się w czasie, gdy pozostają właściwie pod opieką prawa ochronnego. Gdyby wydano zakaz przewozu i skonfiskowano chociażby jeden jedyny okręt z ładunkiem żywych przepiórek, bez względu na to, czy na wiosnę, czy na jesieni, to utrzymanoby przy życiu setki tysięcy ptaków, zdolnych do wylęgiwania dalszego.

Opracował *Jerzy Kamieniusz.*



Jagody i grzyby dla saren.

Zamieszkały w Czechach myśliwy, Jan B., opowiada w jednem z pism łowieckich, co następuje:

Przed kilku laty dowiedziałem się od leśniczych czeskich, że jagody jarzębinowe z drzewa jarzębiny lub pigwy (Jarzębina — *Sorbus*, albo grusza-jarzębina — *Pyrus aucuparia L.* — drzewo powszechnie znane, mianowicie ze swych jagód; rośnie w górach, lasach i około wsi; pączki i młode liście ma kosmate, później gładkie, pierzaste, kwiaty białe, przyjemnej woni; odmiany jej są: jarzębina dzika v. leśna i jarzębina domowa; jarzębinowe jagody, któremi ptaki łowią i których używają w lekarstwach, są po dojrzeniu pięknej, czerwonej barwy; mięsiwo ich biało-pomarańczowe, mączaste, cierpko-kwaskowatego smaku) —

w Czechach na jesieni zbierają, ażeby karmić niemi sarny. Że sarny bardzo chętnie jedzą te jagody w zimie, gdy one spadają z drzew, wiedziałem już od dzieciństwa.

Zanim podam dalsze wywody, muszę kopie kruszyć w obronie tego drzewa, gdyż w wielu leśnych gospodarstwach intensywnych skazują to piękne drzewo na wymarcie, uważając je za niedość użyteczne. Już chociażby dla samych ptaków należy, o ile to możliwe, zostawić to drzewo na pustych równinach po wyrębie, dopóki nie wyrządza szkody, albo też na skrajach lasu. Z przykrością myślę o wielu tysiącach takich drzew, które jeszcze przed dwudziestu laty stały, jako dostarczyciele cienia, na głównych drogach leśnych w Czechach i jako karmiciele licznych ptaków, np. kwiczołów, stanowiących czasami jedyną zdobycz z polowań, zwłaszcza w latach gorszych, gdy brak wogóle zwierzyny. Teraz spotyka się drzewa jedynie przy szosach, gdzie sadzą drzewa owocowe, jesiony i lipy, często na takich miejscach, które nie są wcale odpowiednie do sadzenia i gdzie ciemne chłopstwo niszczy i łamie te drzewa, zanim się rozrastają należycie. Tysiące różnych drozdów ciągną na jesieni i wczesną zimą w Czechach ponad lasami, opuszczając niewdzięczną krainę; conajwyżej zatrzymują się jeszcze na parę dni w wyższych rewirach leśnych, gdzie tu i ówdzie jeszcze stoi takie drzewo owocowe, którego nie dostrzegło oko leśniczego. Tam jedynie ptaki mogą zaspokoić głód dokuczliwy.

Chociażby już dla zapachu kwiecia tego drzewa i dla jego wyglądu pięknego, gdy na niem wisi śliczny owoc czerwony na jesieni, należy zostawić je bezwarunkowo wszędzie. W Czechach stoją jeszcze na granicach majątków, na szosach publicznych i drogach gminnych tysiące drzew jarzębinowych i tysiące kwiczołów mogą na nich żyć i żywić się jesienią. Jedną tylko wadę ma drzewo jarzębinowe, że bez opieki nie doczeka się tak późnego wieku, jak inne drzewa, a przeto musi być często przesadzane.

Jagody tego drzewa w stanie świeżym, jak również w wyschniętym, są nieocenionym materyałem pokarmowym dla zwierzyny, a zwłaszcza dla saren, ułatwiającym trawienie. Późną zimą, gdy sarny podczas obfitych śniegów popsuły sobie żołądki przez zbytnie żerowanie igieł jodłowych i sosnowych, jagody są dla nich prawdziwem lekarstwem. Ponieważ zwierzyna chętniej jada świeże jagody, niż wysuszone, przeto miałem ciągle kłopot z metodą konserwowania świeżych jagód. Gdy mianowicie zanosiłem je do piwnicy, to pleśniały i gniły; gdy zakopałem je w śniegu, co jest też bardzo dobrym środkiem, tembardziej, że u nas nie brak śniegu, to jednak musiałem ustawicznie walczyć z myszami, a podczas wilgotnej zimy także gniły. Najlepiej je przechowałem, kładąc do zagonków gnojowych przy jarzynach i warzywach, przeznaczonych do przezimowania; jagody były na całych gałęziach, które wsadzałem tam do ziemi; podczas pięknych dni trzeba jednak te zagonki gnojowe (rodzaj inspektów) przewietrzać starannie. Można także umieścić je w workach przewiewnych, które wiszą w chłodnem, suchem pomieszczeniu; nie psują się długo, jeżeli niema za dużo jagód w jednym worku; może on najwyżej zawierać kilka litrów. Podobnież w przewiewnych, płytkich pudełkach tekturowych, w których nie nagromadzono zbyt wiele i które stoją na suchej, zimnej podłodze, jagody trzymają się dobrze i gniją mało.

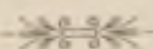
Jagody suszą się łatwo, gdy bierzemy je z drzewa zawsze jedynie zupełnie dojrzałe, dopiero w połowie października, kiedy po dojrzaniu są już trochę brunatne, a nie zwlekając, suszymy jagody w piecu lub piecyku przy kuchni.

Układa się jagody w budkach do karmienia (paśnikach) na drobnych korytkach i pokrywa odrobiną soli, albo też przy drabkach do siana na ziemi, pokrywając trochę sianem. Jeżeli bowiem nie zakryjemy jagód, to zjawią się natychmiast ptaki, w Czechach głównie sójki, albo orzechówki, które zjedzą je całkowicie. Suszonych jagód nie należy kłaść za dużo odrazu; o ile to możliwe, dobrze jest kłaść je w czasie mokrej pogody, bo wtedy napęcznieją prędko i łatwo je strawi zwierzyna.

Można także całe gałęzie jagód tak umocnić przy ochronnych jodłach lub sosnach, obok gałęzi przyziemnych, że zwierzyna łatwo dosięgnie jagód, ptaki zaś nie dostrzegą ich tak łatwo. Jeżeli ptaki za bardzo ciągną do jagód, to trzeba ubić kilka sójek lub też wron i zawiesić je nad dachem budki.

K.

(Dok. nast.)



NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ VIII.

8 kwietnia. Mamy dziś oglądać słynne polowanie z lampartem.

Już w średnich wiekach chita hunting uchodził za faworytalną zabawę indyjskich książąt i Maharadżów, dziś się ten oryginalny sport tylko u dwóch z nich, t. j. u Gujkowara Barody i Nizama Hayderabadu, zachował.

Lampart myśliwski (*Felis jubata*), po krajowemu „chita", stanowi odrębny rodzaj felida, znajduje się w dzikim stanie w całych Indyach i w sposobie życia do pantery jest podobny, aa pierwszy rzut oka jednak, można go od pantery odróżnić. Na wysokich nogach, w ciele wąski i smukły, głęboki w łopatce i silnie w zadzie rozwinięty, gdyby nie łeb koci, do potężnego charta byłby podobny. Łeb ma mały i okrągły, zęby krótkie, równa się wielkości średniej pantery, różni się jednak od niej gęstszemi, czarnemi centkami na tle rudem, prawie ceglastem. Wogóle robi wrażenie więcej psa, niż kota. Z wierzchu na karku i wzdłuż krzyża między łopatkami, ma jakby grzywę z dłuższych włosów złożoną (ztąd *Felis jubata*), zresztą włos ma krótki, jak u pantery. Jedynie lamparty w Himalajach żyjące odznaczają się miękkim, dłuższym włosem, znacznie jaśniejszym, jak u zwykłych. W Centralnych Indyach żyją ludzie, krajowcy, trudniący się specyalnie łowieniem lampartów i układaniem ich do polowania; wytresowane zwierzę za wysoką cenę Maharadżom sprzedają.

Aby lamparta do polowania ułożyć, należy go złapać wyrosłym i do duszenia zwierzyny na własną rękę wprawionym; jak go oswajają i uczą, nikt mi nie był w stanie objaśnić.

Raniutko ruszyliśmy w to samo miejsce, gdzie kilka dni przedtem na antylopy polowałem; w miejscu zebrania czekał już lampart na wozie, w klatce, kapturem przykryty, kilku dojeżdżaczy konno i koń wierzchowy, dla mnie przygotowany. Dosiadłszy konia, zwróciliśmy w dżungle, obok wozu z lampartem, wołami zaprzęgniętego, krokiem postępując. Niebawem ujrzeliśmy kupkę antylop; kilka łań z młodemi w pierwszej linii, dalej dwa słabe kozły, za niemi, nieco dalej, piękny czarny kozieł. Jeden z dojeżdżaczy zsiadł z konia i obok klatki na wozie się ustawił. Ledwo stanął koło lamparta, widać było pod

kapturem, jak tenże, jakby niepokoić się zaczął. Podjechaliśmy o jakie 300 kroków do antylop, które, nie zważając na nas, spokojnie dalej się pasły. Wtem dojeżdżacz, otworzywszy klatkę, szybkim ruchem ściągnął kaptur z lamparta, zwróciwszy go poprzednio łbem ku antylopom. Stał sekundę jak wryty, oczyma łypnął, jakby do raptownego blasku słońca chciał się przyzwyczaić i zoczywszy antylopy, wyskoczył zręcznym ruchem z klatki i wozu i jak piorun, w błyskawicznych susach pomknął ku nim. W życiu mojem takiej szybkości u zwierza nie widziałem; zdawało się, że nie biegnie po ziemi, lecz jakby potężnemi sprężynami podrzucany, w powietrzu się miga.

Zdaje mi się, że na krótki dystans lampart myśliwski jest najszybszem zwierzęciem na świecie. Zgłupiałe antylopy w pierwszej chwili nie wiedziały co się dzieje i lamparta na 50 kroków dopuściły; ten był już niemal pod niemi, gdy się łanie do ucieczki zerwały, biorąc między siebie trzy kozły, pasące się w oddali. Śliczny to był widok, niestety, nie trwał długo; lampart, dogoniwszy stadko, z zadziwiającym sprytem minął łanie i słabsze kozły i puścił się za starym, czarnym kozłem, który wysforowawszy się naprzód, mknął, jak strzała. Nie pomogło mu to jednak: po kilkuset krokach dopadł go lampart i zaskoczywszy go z przodu, chwycił za gardło. Oba runęły na ziemię. Gdy z dojeżdżaczem konno dopadliśmy, leżał kozioł nawznak wywrócony, w ostatnich podrygach, a obok przyczajony, z wpitemi w kark ofiary zębami, leżał lampart; krwią mu ślepia nabiegły, mruczał chrapliwie, długim ogonem bijąc o ziemię. Dojeżdżacz założył mu na kark żelazną obręczkę i w bok nieco odciągnął, poczem szybkim ruchem dobiwszy kozła, schwycił w miseczkę krew z rany się sączącą i podstawił lampartowi. W ten sposób się postępuje, chcąc dalej polować, gdy się zaś na jednej sztuce zamierza poprzestać, karmi się lamparta od razu, całą antylopę do pożarcia mu dając. Wzięliśmy w ten sam sposób drugiego kozła, z tą chyba tylko różnicą, że całe polowanie jeszcze krócej trwało i lampart nie dał antylopie więcej, jak 150 kroków chodu.

Polowanie takie ciekawem jest do widzenia raz jeden, tem więcej, że na świecie tego nigdzie nie zobaczy; okrutny to jednak sport, który może indyjskim Maharadżom, zamiłowanym w krwawych igrzyskach, się podobać, lecz dla myśliwego à la longue mało przedstawia uroku. Ofiara nie ma szansy ucieczki, chyba gdy lampart zmęczony, najedzony, lub gdy mu się polować więcej nie chce. Jeżeli go dojeżdżacz puści w tym stanie, a lampart po pierwszych susach uczuje, że mu nie idzie, stanie jak wryty, jakby zniechęcony i krokiem dalej nie ruszy. Wogóle zwierz dosyć jest oswojony, nawet obcym głaskać się daje; mówią, że czasem tak się do człowieka przywiąże, że jak pies, wolno za ludźmi chodzi.

9 kwietnia. Ostatni dzień pobytu w Hayderabadzie użyłem na wycieczkę do Golkondy. O dziesięć mil od stolicy Nizama, wznoszą się na szczycie skalistej góry jakby ruiny jakiegoś burgu nadreńskiego, ciemne mury rozpadłego zamku i starożytnej fortecy, której założenie w mgle wieków się gubi. Dziś z zamku pozostały tylko ściany zewnętrzne, z ruin dawnej fortecy mały forcik wzniesiono; pilnuje go dzień i noc oddział wojska Nizama. Wstęp do wnętrza wzbroniony, tam bowiem ma się znajdować skarbiec królewski.

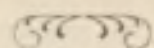
Ze szczytu góry widok wspaniały na leżący tuż obok muzułmański cmentarz i groby dawnych władców i potentatów tego kraju. Kilka pysznych mauzoleów, białe kopuły napół rozpadłych grobowców, królewska necropolis, ruiny fortecy i legenda o skarbach i bogactwach, oto wszystko, co zostało z „Golkondy superby"; wokoło smutno i ponuro, wieczny spokój i milczenie tu panuje; sam krajobraz martwy i pusty zdaje się harmonizować z zamarłą przeszłością tej niegdyś świetnej królewskiej rezydencyi.

Opodal pod fortem Assur Jung ładną willę sobie wystawił i na letnie mieszkanie niekiedy tu zjeżdża. Jedyny to punkt w całej Golkondzie nieco weselszy i ożywiony. Wiedząc o mej wizycie, przybył tu naprzód i u siebie mnie przyjął.

Na południe od Golkondy o mil kilkanaście leżą t. zw. dyamentowe pola, które niegdyś słynęły bogactwem kopalni dyamentów i Golkondzie nadały sławę bajecznych bogactw i największych skarbów na Wschodzie. Najpyszniejsze brylanty świata, znane Grand Mogol i Kohinoor z Golkondy pochodzą, od dawna jednak myślano, że się kopalnie wyczerpały i kilka dziesiątków lat dyamentowe pola leżały odłogiem. Dopiero w ostatnich kilku latach utworzyło się angielskie towarzystwo eksploatacyi rzeczonych pól, które nanowo rozpoczęło poszukiwania i uzyskawszy koncesyę od rządu Nizama, racyonalnie kopaniem dyamentów się zajmuje. Widziałem wiele okazów ostatnich poszukiwań; dyamenty nader czystej wody, lecz, jak dotąd, zbyt drobne, mówią, że głębiej większe sztuki się znajdują.

10 kwietnia. Pożegnałem państwa Newillów, śpiesząc do Bombayu, zkąd nazajutrz miałem do Europy odpłynąć. Był to koniec mej podróży, z żalem wsiadłem na okręt, z żalem żegnałem z pokładu niknące mi z oczu brzegi indyjskiego lądu. Im dalej od niego, tem chętniej i częściej myśl się wraca na ten Wschód daleki, do uroczej krainy wiecznego słońca, do cudów odmiennego świata i czarującej przyrody.

Antoniny w maju 1890 r.



Polowanie ze pskowianami.

(Ciąg dalszy).

Jeśli skorupa (krusta) w polu utrzymuje wilka, a w lesie załamuje się pod nim, to go należy pędzić na pole, a na odwrót bardzo jest trudno zagnać go nazad do lasu. Pamiętam doskonale jedno polowanie, na którem pędziliśmy wilki z czystego pola na krzaki. Stanowiska były urządzone w łukach, między grupami krzaków, w sposób nieregularny, stosownie do rozmieszczenia krzaków. Trzej pskowianie wypchnęli pięć wilków wprost na stanowiska, tylko dwa z nich przerwały się krzakami, wytrzymawszy silną kanonadę. Przed strzelaniną wilki starannie unikały krzaków, trafiając za każdym razem na stanowiska. Następnego dnia obcięto w dość rzadkiej łozinie trzy wilki. Stanowiska były urządzone na końcu łoziny, po brzegach krzaków. Pomiędzy pierwszem a drugiem stanowiskiem była przerwa na jakie 250 kroków; w przerwie tej nie było stanowiska, a tu tymczasem wilki poszły tamtędy, powitane czterema bezskutecznemi strzałami; tylko jeden z wilków po strzałach rzucił się w bok i obszedłszy krzaki, wyszedł na trzeci numer, gdzie też został zabity. Znajomość obyczajów zwierza, bardzo subtelna badawczość, w połączeniu ze zdolnością szybkiego oryentowania się w sytuacyi, pozwalają nieraz pskowianom na dokonywanie prawdziwych cudów; zdarzało się nieraz, że pskowianin, stawiając myśliwego na stanowisku, uprzedzał go, z pod którego świerka wyjdzie wilk, chociaż dla profana ani tropy, ani inne żadne znaki tego nie wskazywały. Lecz powtarzam, że korzystać z naturalnych przesmyków wilka można tylko wtedy, gdy miot jest należycie obcięty i wiatr sprzyjający. W przeciwnym razie lepiej jest wypchnąć zwierza w żądanym kierunku przy pomocy odpowiedniego pędzenia, co zresztą nie jest rzeczą bardzo trudną.

Obciąwszy miot stosownie do danych warunków i stosując podstawowe reguły pędzenia, dwaj psko-

wianie przy pomocy 2—3 ludzi zawsze wypchną wilki na 1—2 stanowiska.

Wszystkie, powyżej wymienione sposoby można srosować zarówno przy otropieniu jednego wilka, jak i całego gniazda, lecz w ostatnim wypadku nie uważam za prawidłowe pędzenie na 1 lub 2 stanowiska. Ażeby dokładnie polować na gniazdo, należy mieć 6—8 myśliwych; stosując się do tej liczby, nie obcinać wilków zbyt krótko. Przeciwnie, jeśli wilki są otropione w zbyt małym miocie, to należy go powiększyć. Z małego miotu wilki, przestraszone strzałami, mogą się przerwać przez obławę; gdy w większym miocie zwierz ma zawsze czas ochłonąć z przestrachu i obsłuchawszy pędzenie, wróci znów na stanowisko. Zaprzeszłego roku mieliśmy raz obciętych 9 wilków w niewielkim miocie. Trzej pskowianie, mając do pomocy 25 obławników, naumyślnie miot powiększyli i wszystkie 9 wilków padły pod strzałami, przyczem wystrzały (a było ich 28) rozdzieliły się na 3 grupy stanowisk ze znacznemi przerwami. Oczywista, że takie pędzenie nie jest bynajmniej majstersztykiem sztuki pskowian, niemniej jednak dało ono rezultat wyjątkowy, a główny cel tego rodzaju polowań, t. j. wytępienie wilków — został osiągnięty.

Dawszy czytelnikom do poznania rezulat długoletnich swoich obserwacyj nad robotą pskowian, muszę wyznać, że zawsze byłem zdumiony tą niepospolitą badawczością, jakiej dowody dają oni w poszczególnych wypadkach, a osobliwie tą zdolnością oryentowania się w zupełnie nieznanej miejscowości, pozwalającą im wyzyskać najbardziej skomplikowane kombinacye, tak łatwo wyrażone na papierze.

Nieraz zdarza się, że myśliwy z podziwu wyjść nie może, jak miot na oko jest dziwnie skombinowany; a następnie zdumienie jego nie ma granic, gdy rezultat okaże się doskonałym.

Niewiele jest do powiedzenia o pędzeniu rysia lub łosia przez pskowian. Ryś nie jest tak płochliwy, jak wilk, i zwykle idzie przed samem pędzeniem, od czasu do czasu przywarowując. Wskutek tego nie zawsze uda go się wypchnąć na stanowiska z dużego miotu. Lecz dzięki tym samym szczegółom, można rysia obciąć w małym kręgu, skąd łatwo jest go wypchnąć. Moskiewskie towarzystwo zabija rocznie 5—6 rysiów przy pskowskich pędzeniach, a rzadko kiedy zdarzają się omyłki. Ryś pędzony, jeszcze staranniej, aniżeli wilk, unika rzadkiego lasu i jeszcze chętniej korzysta ze starych ścieżek lub nawet ze śladów nart. Przed dziewięciu laty ja sam zabiłem rysia przy jednem tylko stanowisku, wziąwszy z Towarzystwa pskowianina (Piotra Starostina) i dwóch chłopów myśliwych. W wypadku tym obcięliśmy parę rysiów w nieprzebytych zawałach — w bardzo małym miocie, skąd rysie ruszyły przy pierwszem odezwaniu się obławników. Jeden z rysiów wyszedł na mnie zajęczym tropem i został zabity na 15 — 20 kroków; drugi po strzale wyszedł bokiem.

Co się tyczy łosia, to ten głupkowaty zwierz nie łatwo podlega warunkom pędzenia. Łatwo można go strzelać przy pomocy myśliwego-przemysłowca, który zna doskonale przesmyki miejscowej zwierzyny; a jeszcze łatwiej jest przyjść do strzału na podchodnego. Co do mnie, to nie lubię tego polowania na mięso i przypuszczam, że każdy myśliwy pali się do tej zwierzyny tylko w samych początkach. Do polowania przy pomocy pskowskiej obławy — zwierz ten nie nadaje się.

(*C. d. n.*).

Dwadzieścia lat polowania na kszyki.

Jeszcze w 1899 roku pojawiła się w Nowym-Jorku książka pod powyższym tytułem; że jednak dziełko to wydrukowanem zostało w ograniczonej liczbie egzemplarzy wyłącznie na użytek prywatny, więc uszło ono baczności ogółu sportsmenów i dopiero świeżo świat myśliwski dowiedział się o niem z ostatnich numerów londyńskiego „Field'a". Jest to książka o 300 stronicach druku, ozdobiona 24 fotografiami, a zawiera wyciągi z pamiętników ś. p. J. J. Pringle'a, jednego z najznakomitszych myśliwych na kszyki w całej Ameryce, a może i w całym świecie. Dotychczas sądzono, że rekordowe polowania kszycze znajdują się w Indyach Wschodnich, na Ceylonie i w Egipcie. Książka p. Pringle'a wskazuje, że Stany Zjednoczone, a przynajmniej niektóre ich części, biją tamte strony świata i że myśliwy ten osiągnął rekordy, jakich nikt jeszcze nie pobił i prawdopodobnie nigdy nie pobije. Interesującem też będzie zapewne dla naszych czytelników podanie opisu miejscowości, gdzie się te wspaniałe polowania odbywały w ciągu lat dwudziestu (1867—1887), jak również sposobów, w jakie p. Pringle je praktykował.

Terenem myśliwskim były brzegi rzeki Bayon Teche w południowo-zachodniej Luzianie. Jest to jedna z najpiękniejszych rzek całego kraju, zachowująca we wszystkich sezonach jednakową szerokość i głębokość, a brzegi jej są tak równe, że gdyby nie liczne skręty, możnaby ją wziąć za sztuczny kanał. Rzeka ta dzieli faliste prerye Attakapas od aluwialnych nizin Atchafalagi. Tutaj znalazł p. Pringle w r. 1867 obszerne łąki, spasane przez liczne stada bydła, które dopomagały do wytworzenia doskonałych żerowisk dla kszyków; z czasem jednak, gdy przeprowadzono kolej t. zw. Southern Pacific, gdy łąki w znacznym stopniu zdrenowano i osuszono, kszycze miejsca zostały znakomicie zredukowane lub nawet zupełnie wyniszczone. W każdym razie pierwsze lat piętnaście pan Pringle polował w doskonałych warunkach.

Ulubione przez kszyki miejsca były to nizko położone błota, pokryte wodną rośliną, którą p. Pringle nazywa niebieskim irisem, dającą na wiosnę piękne, błękitne kwiaty, oraz innemi wodnemi zielskami i trawami, dającemi doskonałe schronisko dla kszyków. Do tych, nizko położonych błot dotykały łąki, wzniesione nad niemi na jakie 15 do 30 cali i zlekka faliste, a wśród nich znajdowały się zagłębienia gruntu, również pokryte irisami oraz inną wodną roślinnością. Podczas suchej pogody kszyki trzymały się owych, niżej położonych części; w czasie zaś deszczów, gdy je woda pokrywała, ptaki przenosiły się na wyżej położone łąki.

Wogóle chodzenie po tych błotach było niezwykle wygodne, dzięki czemu można było posuwać się naprzód szybkim krokiem, co dodatnio wpływało na osiągnięcie tak znakomitych rezultatów.

Jeśli kszyków było dużo, wówczas p. Pringle prowadził swego psa przy nodze i używał go jedynie do wystawiania zabitych ptaków, a nie do aportowania, gdyż inaczej pies, idąc po zabitego ptaka, mógłby płoszyć inne kszyki poza donośnością strzału. Przysparzało to dużo chodzenia, lecz jednocześnie dawało możność częstszego strzelania. Miał nasz myśliwy nadto starego niewolnika, murzyna, który doskonale znaczył zabitą zwierzynę; gdy więc strzały powtarzały się często, zadaniem jego było markowanie, a następnie wskazywanie miejsc, gdzie leżą zabite ptaki. Tym sposobem, gdy jednocześnie znalazło się 10—12 zabitych ptaków, myśliwy, idąc kolejno do nich, mógł strzelać do podrywających się kszyków, które przepadłyby dla niego, gdyby po zabite ptaki posyłał swego człowieka lub psa.

Bardzo pouczającym dla polujących na kszyki, jest *modus operandi* p. Pringle'a.

„Przybywszy na myśliwskie tereny, pozostawiałem swoją furmankę na wzgórku, dając rozkaz, aby furman trzymał się ciągle na odległość sygnału, a tym sposobem mogłem łatwo dopełniać zapas swoich ładunków, gdy jednocześnie mój człowiek szybko pozbywał się kszyków, gdy ich się nazbierała znaczna

ilość. Dawałem tylko sygnał, a furmanka podjeżdżała jaknajbliżej. Gdy kszyków było bardzo dużo, zostawiałem też nieraz psa na wózku; kszyk bowiem jest ptakiem bardzo płochliwym i nawet bardzo dobry pies może go spłoszyć, zanim go wystawi.

„Jeśli to było możliwem, szedłem *z wiatrem*, mając obok siebie swego markiera (murzyna) lub naganiacza na odległość 15 yardów; jeśli miałem 2 oblawników", to trzymałem ich po jednym z każdej strony i tak szedłem do końca zajmowanego terenu, gdzie na mnie już czekała furmanka, którą wracałem do miejsca, skąd zacząłem, i zabierałem w ten sam sposób sąsiedni pas terenu, znów *z wiatrem*, i w ten sposób powtarzałem manewr, aż póki nie opolowałem całego terenu. Częściej jednak zaczynałem od góry (skąd wiat szedł) i przechodziłem kolejno cały teren *wpoprzek wiatru*. Jeśli miałem dwu naganiaczy, to obu trzymałem od siebie z wiatrem, pierwszego na 15 yardów od siebie i nieco poza sobą, a drugiego — na tę samą odległość od pierwszego i nieco poza nim. Ponieważ kszyk, zrywając się, leci zwykle pod wiatr, więc tym sposobem mogłem strzelać nietylko kszyki, zrywające się przedemną, lecz i te, które podlatywały przed moimi ludźmi. Dawało mi to wprawdzie dalekie strzały, ale za to strzelałem częściej. Gdy warunki terenu tego wymagały, zdarzało mi się polować *pod wiatr*; wówczas trzymałem swego markiera o 15 yardów i dobrze z tyłu; gdym miał dwu naganiaczy, lokowałem każdego z nich po innej stronie i starałem się iść dobrze przed nimi. Słowem, starałem się przybierać taki system, który w możliwie krótkim czasie pozwolił mi zdobyć jaknajwiększą ilość zwierzyny".

Rezultaty, rzeczywiście, p. Pringle otrzymał bajeczne, jak to wskazują następujące dane. Przez sześć dni w listopadzie 1874 r. zabił on 1,414 kszyków (207, 214, 228, 301 208 i 256); przez 7 dni w grudniu 1887 r. zdobył 1,943 sztuki (270, 255, 366, 271, 286, 233 i 262). W trzech okazyach zabił powyżej 300 jednego dnia, co, przez te trzy dni razem wzięte, uczyniło 972 sztuki. Powyżej 200 dziennie zdarzyło mu się zabić 26 razy, co uczyniło w tych 26 dniach — 6,378 sztuk, a powyżej 100 sztuk dziennie w 285 okazyach — dając 40,367 kszyków. Podajemy poniżej tablicę 20-letnich polowań, z wykazaniem ilości dni w sezonie, oraz ilości zabitych sztuk każdego roku:

Sezon	Ilość dni polowania	Ilość zab. kszyków	Sezon	Ilość dni polowania	Ilość zab. kszyków
1867 — 68	24	1861	1878 — 79	29	3085
1868 — 69	38	3645	1879 — 80	31	2434
1869 — 70	40	4091	1880 — 81	47	3493
1870 — 71	30	3412	1881 — 82	39	3238
1871 — 72	37	4142	1882 — 83	41	2521
1872 — 73	23	2006	1883 — 84	49	3734
1873 — 74	32	3100	1884 — 85	27	2403
1874 — 75	42	6615	1885 — 86	48	3744
1875 — 76	42	5048	1886 — 87	26	2085
1876 — 77	28	3116	20 sezonów	711 dni	69087 ksz.
1877 — 78	38	5314			

Pozostaje nam wspomnieć, jakiej broni, prochu i śrótu używał p. Pringle. Przez kilka pierwszych sezonów myśliwy ten posługiwał się strzelbami Langa, Purdya i Granta, później jednak przeszedł wyłącznie na Purdey'a, a mianowicie używał broni kurkowej, cylindrycznej. Gdy jednak z czasem weszły w modę bezkurkowe czoki, niemi się już stale posługiwał, uważając ten system broni za najlepszy, „niepozostawiający nic do życzenia", jak sam powiada. Broń jego miała wagę 6 f. i 10 uncyj, z czego można wnosić, że używał kal. 12-go. Strzelał śrótem hartowanym Nr. 9, kładąc niekiedy Nr. 8 do lewej lufy. Co do prochu, to był on przekonania, że czarny (dymny) strzela ostrzej, i dlatego przez długi czas używał tylko tego gatunku prochu; później jednak zmienił system i zwykle nabijał prawą lufę prochem Schultzego, a lewą — czarnym. Strzelał zawsze tylko z jednej strzelby i nigdy nie używał człowieka do nabijania. Dzięki olbrzymiej praktyce, doszedł on do nadzwyczajnej wprawy w nabijaniu. Ładunki nosił luźno w otwartej, szerokiej kieszeni, zkąd je mógł szybko wyjmować. Według naszego zdania, jest to najlepszy system dla tych myśliwych, którzy sami nabijają swoją strzelbę.

Kończąc te ciekawe uwagi, dodamy od siebie, że kszyk, na którego polował p. Pringle, należy do amerykańskiego gatunku *Gallinago delicata* lub *G. wilsoni*, który jest tylko małą odmianą naszego, różniącą się krótszym dziobem i małemi detalami ubarwienia.

J. S.

PRAWIDŁA

Konkursowej próby wyżłów (field-trial), urządzonej przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w 1905 r.

1. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa urządza w bieżącym, 1905, roku tytułem próby i dla zachęty posiadaczy wyżłów, *próby polowe (field-trials)* z nagrodami dla najlepszych i najlepiej ułożonych wyżłów wszelkich ras i pochodzenia.

2. Do konkursu mogą być zapisywane wyżły wszelkich ras, przyczem podane być winny wiek, pochodzenie i płeć psa.

3. Zapisy przyjmowane będą w Kancelaryi Towarzystwa od daty ogłoszenia konkursu do dnia 19 sierpnia (1-go września) włącznie. Zapisujący wnoszą tytułem wpisowego po rb. 3 od wyżła. Konkurs odbędzie się w d. 20 sierpnia (2 września) 1905 r.

4. Psy chore i suki grzejące się, do konkursu dopuszczone nie będą. Na punkcie zbornym, w dniu konkursu i o godzinie, wskazanej przez Kancelaryę, psy winny się znajdować w obrożach i na łańcuszkach. Sędziowie będą kwalifikowali psy na miejscu, losując porządek, podług którego będą próbowane. Spóźniający się pies będzie próbowany na końcu.

5. Psy próbowane będą na kuropatwach. Próby odbywać się będą w okolicach Warszawy.

Prawa i obowiązki sędziów.

6. Konkurs rozstrzygają sędziowie w liczbie trzech, którzy pomiędzy sobą wybierają prezydującego. Sędziowie wydają decyzyę, stawiając stopnie podług zatwierdzonego 100-stopniowego systemu (wiatr 25, szukanie 20, stójka 20, prowadzenie 10, apel 15, podawanie 10) i naznaczają nagrody według swego uznania. Dla otrzymania I-ej nagrody wymagane jest minimum 75 stopni, dla II-ej 65, dla III-ej 60 stopni. Wyrok sędziów nie podlega apelacyi.

7. Sędziowie, w czasie próby, prowadzą swoje notatki, po ukończeniu zaś odbywają naradę, podpisują protokół i przyznają nagrody na następujących zasadach: każdy z sędziów kwalifikuje psa podług wystawionych przez siebie stopni do odpowiedniej nagrody, a większość głosów decyduje o stopniu nagrody. Rezultat ogłoszony będzie na drugi dzień w pismach.

8. Każdy pies próbowany będzie oddzielnie, z wyjątkiem tych, o których mowa w § 9. Czas trwania próby zależy od sędziów.

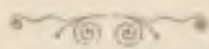
9. W razie jednakowych kwalifikacyj dwóch lub więcej psów, sędziowie próbują po dwa równocześnie; gdy zaś i to nie da rezultatu, oddają pierwszeństwo psu bardziej rasowemu.

10. Właściciel sam (lub przez strzelca) prowadzi psa, ściśle stosując się do wymagań i wskazówek sędziów.

Nagrody dla psów starszych: I-a 100 rb. i złoty żeton, II-a — 75 rb., III-a — 50 rb.

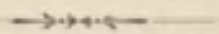
Nagrody dla psów w pierwszem polu: I-a 50 rb., II-a 30 rb.

Oprócz tego strzelcy, układający psy nagrodzone, otrzymają przy odpowiednim dyplomie za 1-go psa 20 rb., za 2-go — 15 rb.



Konkurs wyżłów.

W d. 10 lipca r. b. odbyło się pod przewodnictwem hr. Aleksandra Ilinskiego-Kaszowskiego posiedzenie Wydziału hodowli psów myśliwskich przy Warszawskiem Towarzystwie prawidłowego myślistwa. Celem zebrania było ustanowienie daty oraz omówienie warunków tegorocznego konkursu wyżłów *(field-trialu)*, który postanowiono urządzić w d. 2 września w sobotę. Na sędziów zaproszono pp. Aleksandra Szwedego, Wacława Paszkowskiego i Jana Sztolcmana, a na zastępców pp. Józefa Zarembskiego i Władysława Starzyńskiego. Warunki, które podajemy powyżej, pozostawiono bez zmiany, tak, jak były w roku zeszłym. O teren na urządzenie konkursu postanowiono prosić hr. Ksawerego Branickiego, który od lat kilku użycza na ten cel gruntów folwarku Służewiec, za rogatką Mokotowską, ewentualnie zaś p. Stanisława Lilpopa, właściciela majątku Brwinów przy kolei Wiedeńskiej.



Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 12 lipca. Redakcya „Kalendarza Handlowego" zgłosiła się z prośbą o dostarczenie danych o składzie osobistym Oddziału naszego, dla zamieszczenia w dziale informacyjnym „Kalendarza". Postanowiono żądane wiadomości przesłać.

Główne Towarzystwo w Moskwie donosi, że w sierpniu urządza próby polowe wyżłów, a o dniu próby zawiadomi oddzielnie, tymczasem prosi o przyjęcie udziału w konkursie. Rada postanowiła wysłać złoty żeton dla właściciela najlepszego psa z rasy pointerów lub setterów.

Z powodu wyjazdu p. Władysława Jacobsona na letni wypoczynek, obowiązki gospodarza lokalu zastępczo sprawować będzie p. Adolf Korsak.



Drobiazgi myśliwskie.

Łowienie żubrów w Białowieży. Pod powyższym tytułem czytamy w wiedeńskiej „Jagd Zeitung" dosłownie, co następuje: „Jak pismo rosyjskie donosi, zlowiono zeszłej zimy trzy tury („*Auerochsen*") dla zwierzyńca hr. Józefa Potockiego. Nie chodziło tutaj o zwierzęta z puszczy Białowiezkiej, lecz o sztuki okazowe z ogrodzonego zwierzyńca i oglądane przez licznych widzów, zwiedzających Białowieżę. Sztuki, przeznaczone do złowienia, zwabiono za pomocą pokarmu, do coraz mniejszego ogrodzenia, aż w końcu wpędzono zwierzęta w wązki korytarz, w którym nie mogły się nawracać, skąd przeszły do podstawionych skrzyń transportowych. Z dwoma żubrami sprawa poszła dość gładko, nie tak jednak było z krową, która, jak to mówią, za żadną cenę nie dała się wpędzić do ciasnej części ogrodzenia. Stała się bardzo dziką, wierzgała kopytami po śniegu, uderzała się ogonem po bokach i próbowała kilka razy napadać naganiaczy. Ponieważ nie dało się w ten sposób nic zrobić, zdecydowano się na to, żeby z wysokości ogrodzenia zarzucić grube liny na rogi zwierzęcia i tak je wciągnąć do ciasnego korytarza w ogrodzeniu. Przy użyciu siły niezliczonej ilości rąk udała się ta manipulacya i krowa wtargnęła potem dziko do przygotowanej skrzyni transportowej. Po upływie godziny, trzy żubry znalazły się już na saniach, w drodze do najbliższej stacyi kolejowej".

Zwierzostan w Płockiem. Do „Ech Płockich" piszą: Zwierzostan w okolicach Płocka przedstawia się w tym roku bardzo pomyślnie. Zajęcy i kuropatw będzie dużo. Czas bardzo sprzyjał mnożeniu się zwierzyny, a przytem zauważyć można zmniejszanie się kłusownictwa.

Bałwan cietrzewiany. Baron H. v. Wolf z Liflandyi opisuje w „Bałtyckiej gazecie myśliwskiej" fakt następujący: „W naszych stronach wabi się koguty cietrzewi przy pomocy sztucznych bałwanów z pilśni lub gałganów, naśladujących wygląd cieciorek. Niedawno, oczekując zwabienia się cietrzewia, ujrzałem drapieżnika, zbliżającego się do sztucznej cieciorki, który wbił w jej grzbiet ostre szpony, lecz w tej chwili cofnął się, jakby przerażony. Przy tej sposobności ubiłem drapieżnika, którym był duży krogulec". Jak wiadomo, tego rodzaju polowanie oddawna uprawiane jest w Rosyi.

Świadectwa myśliwskie w Czechach. Austryackie ministeryum skarbu ustanowiło nowy stempel, wysokości 1 korony dla świadectw myśliwskich, wydawanych w Czechach.

Wystawa myśliwska. Związek myśliwsko-strzelecki w Bernie Morawskiem zapowiada otwarcie wystawy łowieckiej w d. 21 października r. b., wyznaczywszy dla wystawców bardzo liczne i poważne nagrody.

Wycofanie karabinów. Z Londynu donoszą: Wielkie wrażenie zrobiła tu wiadomość, że wycofano nagle z użycia, zaprowadzony niedawno, nowy karabin ze skróconą lufą, którego wysłano już 80,000 do Indyj. Skasowanie tego karabinu nastąpiło z tej przyczyny, że koła kierujące zażądały, aby w sprawach uzbrojenia armii rozstrzygali fachowcy i oficerowie, a nie dostawcy i fabrykanci broni.

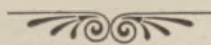
Polowanie na niedźwiedzie polarne. Z Londynu piszą: Wyprawa, złożona z dziesięciu angielskich sportsmenów, udaje się w lipcu w północne krainy, celem polowania tam na niedźwiedzie polarne, konie morskie (morsy) i innego grubego zwierza. Każdy uczestnik musi wnieść 250 f. szt. na pokrycie kosztów. Parowiec „Bore" okręt pasażerski pierwszej klasy o 737 tonach, został specyalnie wyznaczony dla użytku tych dziesięciu sportsmenów. Tej nieznacznej liczbie osób okręt oczywiście zapewni dużo miejsca swobodnego, gdyż pokój stołowy starczy dla 50 ludzi, a również czytelnia i pokój do palenia są bardzo przestronne. „Bore" wypłynie drugiego lipca z Newcastle-on-Tyne i przystanie w Hammerfest, gdzie zabierze na pokład żeglarzy północnych, przewodników i rekwizyty do namiotów. Stąd okręt popłynie do Spitzberga i Ziemi Franciszka Józefa. Jeżeli lód nie przeszkodzi okrętowi dojechać do miejsca przeznaczenia, to oczekiwać należy wspaniałego polowania, ponieważ w tych okręgach nie brak niedźwiedzi polarnych, ani morsów. Podczas długiej podróży morskiej, sportsmeni chcą się jeszcze ćwiczyć w strzelaniu i urządzą konkurs strzelecki. Wyprawa będzie wszystkiego w drodze jeden miesiąc.

Zwierzęta wymarłe w XIX wieku. Zoolog angielski, Lancaster, zajął się wyliczeniem zwierząt, które wyginęły zupełnie w ubiegłem stuleciu. W połowie XIX wieku znikła olbrzymia hagara, z nierozwiniętemi skrzydłami; pozostałe jeszcze, dotąd zachowane jaja, cenią na setki koron. Na wybrzeżu amerykańskiem Oceanu Atlantyckiego ptak ten znikł już w 1846 r.,

na wybrzeżu europejskiem, zabito ostatnią parę w r. 1844. W drugiej połowie stulecia wyginęła w Afryce południowej kwagga w kraju przylądkowym w latach 1865—1870, w Oranii zaś między 1870 a 1873 r. Dawniej zwierzę to było bardzo pospolite, używano go do przewożenia ciężarów, mięso było poszukiwane przez hotentotów. W muzeum brytańskiem znajduje się szkielet i wypchana kwagga. Z ptaków, prócz olbrzymich hagar, zniknęły czarne emu W 1803 r. wyprawa francuzka znalazła obfitość tych ptaków na wyspie Kanguru, w dwadzieścia lat później już ich nie widywano. Obecnie istnieją tylko dwa szkielety i dwa egzemplarze wypchane w muzeum paryskiem i florenckiem. W połowie stulecia znikł także gatunek ptaków, znany pod nazwą *Cormoran Pallas*; ostatnie egzemplarze napotkano w r. 1839 na wyspie Berynga. Wypchane znajdują się, w muzeum brytańskiem. Najwięcej zaginęło gatunków ptaków, jak np. gołąb, zwany holenderskim (*Alectoroenas nitidissima*), którego pióra miały wszystkie barwy narodowe Holandyi; śliczny, czarno złocisty *Drapanis pacifica*, bardzo niegdyś pospolity na wyspach Hawai, a poszukiwany przez krajowców dla prześlicznych piór żółtych, używanych do ozdoby przez naczelników plemion. W Indyach Zachodnich zaginęło wiele gatunków ptaków, zanim ornitologowie zdążyli je poznać.

Zwierzęta barometrami. Oddawna lud zwracał uwagę na zachowanie się zwierząt i rzeczywiście, zwierzęta posiadają daleko lepiej rozwinięty instynkt odgadywania zmian atmosferycznych, aniżeli człowiek, to też z zachowania się zwierząt można dość ściśle przepowiadać stan pogody w najbliższej przyszłości. Każdy myśliwy wie, że na krótko przed deszczem, lub wogóle przed niepogodą, psy objawiają przygnębienie, tracą apetyt i wydają ostrą, nieprzyjemną woń. Jelenie i łosie stają się nerwowe i porykują krótko, żałośnie. Najwrażliwsza na zmianę pogody jest wiewiórka. To ruchliwe, wesołe zwierzątko na dobę już przeczuwa niepogodę i skacze niespokojnie z gałęzi na gałąź, krzycząc trwożliwie Przed samą burzą wiewiórka pośpiesznie kryje się do dziupli i zasłania otwór; często w jednem schronieniu gromadzi się kilka wiewiórek. Najwięcej „żywych barometrów“ liczy królestwo ptaków. Zwinne jaskółki przed burzą uwijają się nad samą ziemią; kaczki i gęsi pluskają się częściej, krzycząc przeraźliwie. Sowy przeczuwają burze na dobę przed jej nastaniem i zaopatrują się zawsze w żywność.

Zoologowie w spódnicy. Kobiety, studyujące w Stanach Zjednoczonych, powołały do życia stowarzyszenie, mające na celu umożliwienie zoologom żeńskim pracę. W związku z tem utworzona też została nagroda, przeznaczona co dwa lata, w sumie 1,000 dol. za wybitną pracę przyrodniczą kobiety-badacza. Niedawno nagroda ta udzielona została, po raz drugi, pannie Sterens.



Konkursy strzeleckie.

W d. 10 b. m. odbyło się w Strzelnicy warszawskiej posiedzenie sędziów konkursu wiosennego w r. 1905.

Skład sędziów: pp. ks. Konstanty Radziwiłł, Aleksander hr. Ilinski-Kaszowski, Stefan Kretkowski, Bronisław Kułakowski, Aleksander Nelken, Aleksander Morozow, Konstanty Orsetti i Robert Ziegler.

Po szczegółowem obejrzeniu tarcz i kontroli konkursowych, zebrani sędziowie, zgodnie z ogłoszonemi warunkami, przyznali nagrody, jak poniżej.

Konkurs I. Z pistoletu na 16 metrów. 7 strzałów do tarczy 18 cm. średnicy. Pistolety tarczowe. Trzy tarcze, odpowiadające warunkom konkursu (272 kw. + 272 kw. + 247 kw.), przedstawił tylko p. Aleksander Nelken, któremu też przyznano nagrodę I-szą. Pozostałych nagród nie przyznano nikomu.

Konkurs II. Z pistoletu do manekina na komendę, 25 metrów. Za najlepsze serye z 7 strzałów otrzymali nagrody: I — Stefan Kretkowski, II — ks. Konstanty Radziwiłł, III — Aleksander Nelken.

Konkurs III. Z broni śrótowej dowolnego kalibru do celu ruchomego (zając) na 40 metrów. 2 serye po 10 zajęcy zrobili pp. Józef Błeszyński i Feliks Rożyński. Nagrody będą im przyznane po rozstrzelaniu się.

Konkurs IV. Ze sztucerów wszelkich kalibrów i systemów do rogacza znikającego, na 40 metrów. Nagrody I — za świetną seryę 500 kw. (maximum) w 5 strzałach przyznano ks. Konstantemu Radziwiłłowi, II — p. Aleksandrowi Morozowowi za 481 kw., o III nagrodę rozstrzeliwali się pp. Konstanty Orsetti i Feliks Rożyński, którzy mieli pierwotnie po 462 kw., a po rozstrzelaniu się p. Rożyńki za 339 kw. (p. Orsetti 315 kw.) otrzymał nagrodę III.

Konkurs V. Ze sztucerów dowolnego systemu i kalibru do dzika ruchomego na 80 metrów. I w tym konkursie ks. Konstanty Radziwiłł i p. Aleksander Morozow, zrobili pierwotnie (maximum) po 500 kw., a po rozstrzelaniu się I nagrodę przyznano ks. Konstantemu Radziwiłłowi za 424 kw., a II — p. Aleksandrowi Morozowowi za 405 kw., III p. Feliksowi Rożyńskiemu za 443 kw.

Konkurs VI. Ze sztucerów dowolnego systemu do tarczy 70 cm. średnicy na 100 metrów. I nagrodę otrzymał ks. Konstanty Radziwiłł za tarcze 29 kw. + 30 kw. + 34 kw., średnio 31 kw., przy doliczeniu 2 punktów handicapu do każdej tarczy = 33 kw. II nagrodę przyznano hr. Benedyktowi Tyszkiewiczowi za tarcze 35 kw. + 31 kw. + 45 kw., czyli średnio 37 kw., III nagrodę p. Konstantemu Orsettiemu za tarcze 40 kw. + 53 kw. + 63 kw., czyli średnio 52 kw.

Wogóle konkurs odznaczył się udziałem znakomitych strzelców. Wynik uważać należy za nader pomyślny.

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

W d. 26 czerwca rozpoczęło się w Londynie międzynarodowe, konkursowe strzelanie do gołębi w obu miejscowych klubach (Hurlingham Club i Gun Club). Zjazd cudzoziemców był nieliczny, niemniej jednak wystąpili tu pierwszorzędni, europejscy strzelcy. Francyę reprezentowali pp. Journu i bar. Gourgaud, Belgię — pp. Moeremans (po raz pierwszy występujący na międzynarodowych konkursach) i bar. Dorlodot, Austryę — hr. v. Althann, Hiszpanię — p. Rincon Gallardo, Stany Zjednoczone — pp. C. Carroll i Robinson, wreszcie Argentynę - p. Saavedra. Uderza tu brak zupełny Włochów, którzy mają pierwszorzędnych strzelców do gołębi i wielokrotnie brali Wielką Nagrodę Kasyna w Monte-Carlo.

Oto ważniejsze nagrody, jakie rozegrane zostały:

Handicap. 1) hr. von Althann (80 ℔ i puhar wartości 50 ℔) — 27 yardów: $^{17}/_{17}$ gołębi. 2) Mr. Carroll (80 ℔) — 27 yard., $^{16}/_{16}$ gołębi. 3) Mr. Roch (15 ℔) — $31^1/_2$ yarda; $^{13}/_{14}$ gołębi.

Poule de Series. 1) Mr. Moeremans (51 ℔ i puhar) — 30 yardów; $^{11}/_{11}$ gołębi. 2) Mr. Collier (51 ℔) — 28 yard.; $^{10}/_{11}$ goł. 3) Mr. Carroll (10 ℔) — 18 yard.; $^7/_8$ gołębi.

Hurlingham Cup. 1) Capt Brooke (75 ℔ i puhar) — $21^1/_2$ yard.; $^{10}/_{10}$ gołębi. 2) Mr. Ross (75 ℔) — $27^1/_2$ yard.; $^9/_{10}$ gołębi. 3) Mr. Lauderdale - $25^1/_2$ yard.; $^8/_9$ goł.

Poule de Series. 1) Mr. V. Barker (70 ℔ i puhar) — 30 yard.: $^{10}/_{10}$ gołębi. 2) Mr. Arncliffe (70 ℔) — 26 yard.; $^9/_{10}$ goł. 3) Mr. H. Barker (30 yard.). Mr. Ryan (30 yard.), Mr. Collier (30 yard.) i Mr. Taylor (28 yard.) podzielili się 13 ℔.

Hurlingham International Cup. 1) Mr. Hayes (120 ℔ i puhar) — $26^1/_2$ yard.; $^{13}/_{13}$ goł. 2) Mr. Ryan (40 ℔) — 29 yard.; $^{12}/_{14}$ goł. 3) Mr. Newton (10 ℔) — $25^1/_2$ yard.; $^{11}/_{14}$ gołębi.

Paris 50 ℔ Cup. 1) Mr. Collier (120 ℔ i puhar) — 21½ yarda; $^{10}/_{10}$ goł. 2) Mr. Watson (27 yard.) i Mr. Walters (24 yardy) — podzielili się drugą i trzecią nagrodą w sumie 42 ℔.

Spanish Cup. 1) Capt. Brooke (80 ℔ i puhar) — 25 yard.; $^{12}/_{12}$ goł. 2) Mr. Ryan (80 ℔) — 30½ yarda; $^{11}/_{12}$ goł. i Mr. F. H. Roberts (80 ℔) — 28 yard.; $^{11}/_{12}$ gołębi.

Treść Nr. 14 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków, półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Іюля 1905 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.